

Jest 18 września 1960 r. W podmuchach gwałtownego wiatru czterej zakopiańscy taternicy schodzą trawiastym zboczem na Huciańską Przełęcz. Po 23 dniach przebywania w górach są brudni, głodni, nieogoleni, ale dumni ze swego wyczynu. Po raz pierwszy w historii pokonali Główną Grań Tatr bez omińnięcia jakiegokolwiek szczytu lub nazwanej turni. Wyprawa rozpoczęła się 27 sierpnia u wylotu Doliny Mąkowej. Przejścia dokonali: Marian Kruczek, Stanisław Obrochta, Józef Olszewski i Henryk Szot. Duchem sprawczym całego przedsięwzięcia był Paweł Fogel, który z racji wieku towarzyszył młodym taternikom tylko w pierwszych dniach wspinaczki. W 45. rocznicę tego wydarzenia publikujemy obszernie fragmenty kroniki spisanej przez Stanisława Obrochtę po przejściu grani.

# Ściśle grania

**W** grupie szturmowej udział biorą: Heniek, specjalista od „korb”, tzn. miejsc nadzwyczaj trudnych. Szczupły i wyjątkowo ruchliwy daje się poznać miłą, sympatyczną powierzchownością. Józek, zwany „Joe”, słynie z trafnych komentarzy wypowiedzianych flegmatycznie z dawką cynicznego uśmiechu. Wysoka jego postać obciążona ciężkim plecakiem bez trudu pnie się w górę. Marian – niski, zwinny charakteryzuje się zdolnościami kulinarnymi. W skale daje sobie doskonale radę, aczkolwiek nie ma na swym koncie wielu dróg taternickich. No i ja, któremu powierzono kierować akcją na grani.

**27 sierpnia.** Budzik nastawiłem na piątą, niestety bez skutku, ponieważ sen – po męczących dniach przygotowań – jest mocniejszy niż turkot dzwonka. Na wpół otwartym okiem zerkam na tarczę zegarka i zaraz oczy otwieram szeroko widząc siódmą. Zły sam na siebie po godzinie melduję się na Łysej Polanie. Wyprawę rozpoczynamy od Doliny Mąkowej. Siedmioosobowa grupa obciążona sporymi plecakami gęsiego pnie się w górę. Zachwycony szykiem grupy podziwiam ją na tle co-

raz rzadszego drzewostanu. Przystaję, niekoniecznie dla podziwiania widoków, lecz dla odpoczynku, oczy szczypią od ciągłego wycierania potu sączącego się z czoła. Zaszczycony udziałem w wyprawie bez narzekań znoszę upał i makabrycznie ciężki plecak. Przed dotarciem na Przełęcz pod Kopą wchodzimy na pierwszy szczyt – Szalony Wierch.

Namioty na przełęczy wyrosły niemal błyskawicznie. Były trudności z pomieszczeniem się naszej czwórki.

■ Na szczycie Jaworowego. Józef Olszewski czyta przewodnik, za nim stoi Henryk Szot, po prawej – Stanisław Obrochta



## Marian Kruczek

Ur. 21 lutego 1928 r. w Suchej Beskidzkiej Grotolaz, taternik, alpinista, przewodnik tatrzański, instruktor narciarski, z wykształcenia nauczyciel. Od 1957 r. mieszka w Zakopanem, wspinaczkę zaczął się w 1959 r. Uczestniczył

w odkrywaniu i eksploracji licznych jaskiń tatrzańskich. W 1960 r. odnalazł Litworową Jaskinię Lodową nad Doliną Miętusią. Dużo chodzi po górach, w mieście porusza się na rowerze.



## Stanisław Obrochta

Ur. 15 września 1937 r. w Zakopanem. Tam też ukończył Technikum Budowlane. Przez 35 lat pracował w Przedsiębiorstwie Budownictwa Ogólnego „Podhale” zajmując się głównie projektowaniem i wykańczaniem wnętrz budynków. Taternictwo uprawiał dosyć krótko, oprócz dróg

wspinaczkowych w Tatrach przeszedł północną ścianę Triglavu w Alpach Julijskich. Jego pasją jest narciarstwo zjazdowe. Zaczynał jako junior w SN PTT, był uczestnikiem 22 amatorskich edycji Pucharu Zakopanego. Jest instruktorem narciarstwa i sędzią PZN. Nadal chodzi po Tatrach i jeździ na kolarce po górskich szosach Podhala.



## Józef Olszewski

Ur. 16 czerwca 1939 r. w Zakopanem; zm. 29 listopada 2004 r. w Krakowie. Taternik, alpinista, przewodnik i ratownik tatrzański. Główną Grań Tatr przeszedł nie tylko w lecie, ale również zimą w 1979 r. Wszedł na Kaukazie, w Alpach

i Himalajach. Wszedł na Noszak (7485 m n.p.m.) w Hindukuszu oraz na kilka innych siedmiotysięczników w Pamirze. Z wykształcenia technik budowlany, zarabkował jako przewodnik tatrzański oraz instruktor narciarski.

**28 sierpnia.** Rano zaskoczył nas fakt, że koledzy leżący na skraju namiotu obudzili się w śpiworach prawie zupełnie mokrych. Przyczynę nietrudno było odgadnąć. Otóż, igelitowy namiot doskonale chroniący od obfitego deszczu, nie przepuszczał na zewnątrz pary, która skraplając się na ściankach wewnętrznych, strużkami spływała pod śpiwory. Gorące promienie słońca przez cały dzień wysuszą nasze kłopoty.

Obwieszeni zwojami lin, wyruszamy na grań. Teren w skali nieco trudnej nie wymaga asekuracji. Szybko pokonujemy szczyty i przełączki. Trudniejsza partia Papirusowych Turni dostarcza prawdziwych emocji taternickich. Pracowity dzień kończymy wieczorem na Baranym Zworniku, skąd powrót wymaga czterech godzin.

Inicjatorem wyprawy i kierownikiem jest znany taternik pan Paweł Fogel, który ze względu na podeszły wiek [wtedy 56 lat – przyp. red.], nie mógł dotrzymać kroku młodym organizmom w następnych dniach wspinaczki grania.

Bardzo zmęczeni, głodni, docieramy do biwaku w ciemnościach nocy. Panowie Foglowie, którzy szli granią z nami, pozostali daleko w tyle i wrócili po północy.

**29 sierpnia.** Grupy wspierającej nie mamy, więc cały biwak musimy sami przetrzucić na Lodową Przełęcz. Niewiele jest tu miejsca na rozbięcie namiotu, a zatem przygotowujemy platformę. Mimo wielkich starań, najbliższą noc i następną trzeba będzie spędzić w niezbyt wygodnej pozycji.

**30 sierpnia.** Ochłodzenie jest wyraźne, co nie rokuje poprawy pogody. Śnieżna Grań jest ostra i bardzo poszarpana. Wykonujemy krótkie zjazdy, pokonując w ten sposób większe uskoki. Całkowicie pochłonięty akcją, nie odczuwam zimnego powiewu. Po pokonaniu Śnieżnego Szczytu uznaliśmy, że trudności w tym dniu są przebyte, a pozostałą partię grani Lodowego przejdziemy bez związania. Początkowo idzie się bardzo dobrze, ale potem grań staje się coraz ostrzejsza. Wystarczy się potknąć, czy chwycić ruchomego bloku skalnego, żeby zsunąć się w przepaść. Jest już za późno, aby związać się liną. Zostało tylko ryzyko i nadzieja dojścia do łatwiejszego terenu. Jedząc kolacja obiad postanowiliśmy nigdy nie skraćć czasu przejścia kosztem ryzyka. Wrażenia są ogromne. Przed oczyma ciągle stoi otworem głębia przepaścistych zboczy.

**31 sierpnia.** „Joe” zachłystuje się kaszlem, porywisty wiatr szarpie namiotem, na zewnątrz grad ze śniegiem oblepia zachodnie ściany szczytów. Po takiej nocy wyjść na wspinaczkę byłoby nierozsądnie. Wobec tego piątą z kolei dzień przeznaczamy na przerzut biwaku na przełęcz Jaworową. Dawne platformy zmuszeni jesteśmy rozszerzyć. Oryginalna to murarka, bo konstrukcja wspiera się na ruchomym glazie zawieszonym nad zerwą skalną. Żeby pewniej się czuć podczas biwaku, wbijam w szczelinę hak, do którego za pomocą liny asekuruję ewentualne obsunięcie się w dół owocu naszej pracy.

**1 września.** Poprzednie wyprawy idące granią Tatr omijały mniejsze turnie. My postawiliśmy sobie za cel wejść na każdy szczyt i nazwaną turnię. Trzeba dokończyć wejścia na Zbójnickie Turnie, a potem na Ostry i Mały Ostry. Nazwy dwóch ostatnich masywów nie są przypadkowe. Grań ich jest tak ostra, jak kalenica góralskiego dachu. Wspinaczką jesteśmy zachwyceni, ale nie długo. Zejście do Przełęczki w Ostrym oceniam jako bardzo nieprzyjemne. Trzeba kluczyc po półkach nachylonych w stronę głębokiej Doliny Jaworowej. Wzrok ciągle skierowany w dół, tam, gdzie piargi podchodzą pod ścianę. Stale myślę o tym, że wystarczy

parę sekund, aby znaleźć się tam roztrzaskanym.

Marian daje znać, że jest gotowy do asekurowania mojego zejścia. Zdaję sobie jednak sprawę, że to tylko fikcyjne ubezpieczenie, bo przecież jestem 30 metrów nad nim, bez haka pośredniego. Opuszczam się na rękach, szukając nogami upatrzonego poprzednio stopnia. Wystarczy mała niedokładność lub zaczepienie ubraniem o skałę i już...

Stoję teraz na skośnym gzymsie, przylgnięty plecami do skały. Szpice butów wystają mi poza krawędź gzymsu, za którą jest pionowa ściana. Dla dodania odwagi mówię sam do siebie: – ale tu luft. Kilkakrotnie przetykam ślinę, a lekki dreszcz przechodzi przez tydki. Boję się, coraz bardziej się boję: – Marian! A teraz gdzie? Odpowiedź słyszę z bliska. Nim zdążyłem ochłonąć z wrażenia, doszła do nas następna dwójka. Są równie zmęczeni i zdeenerwowani.

**2 września.** Ten dzień dostarcza nam silnych emocji podczas zjazdów do Rozdziela. Na trawiastej plaszce od razu zauważyłem zetlałą pętlę, o której wspominałem, że kiedyś przed wojną została pozostawiona przy zjazdach. Żeby zobaczyć czy lina dosięga celu, trzeba mocno nachylić się za igłę skalną. Jako pierwszy w klucz zjazdowy wchodzi Marian. Dobrze zaparty nogami za blokiem skalnym, wypuszczam po parę centymetrów linę ubezpieczającą. Wołanie – jeszcze, jeszcze – dochodzi z przeciwległej ściany zupełnie wyraźnie. Barwa głosu przypomina echo w dobrze rezonującej dużej sali.

Heniek jak zahipnotyzowany patrzy na hak, który pod wpływem ciężaru zjeżdżającego niepokojąco się ugina. Od przeciwległej ściany dochodzi długie echo – koniec zjazdu – i jednocześnie potworny huk. Dłonie automatycznie zaciskają się na linie przeciąganej przez plecy dla zwiększenia oporu. Gwałtownie naprężona lina o mało nie wrywa mnie ze stanowiska. Huk trwa, potęgowany echem – sekundy mijają. Mózg intensywnie pracuje nad wyjaśnieniem zajścia. Początkowo sądziłem, że zepchnęłam potężną igłę skalną, za którą tak pewnie się czułem. Nie widzę żadnych zmian w otaczającym nas terenie, więc wyobraźnia natychmiast przedstawia mi oderwanie się płyt pod nami i zdruzgotanie Mariana. Na skroniach czuję mocniejsze uderzenia tętna, robi mi się gorąco. Huk powoli milknie, a zza krawędzi balkonu unosi się charakterystyczna woń krzemu. Z trudem, przez zaciśnięte szczęki, wydobywam z siebie głos wywołujący imię zjeżdżającego kolegi. Korzystając z doskonałej akustyki, Marian wyjaśnia, co się stało. Otóż, stanął na ruchomym bloku powodując lawinę kamienną i w ten sposób pozbawił się gruntu pod nogami, a sam zawisł na linie.



### Henryk Szot

Ur. 12 listopada 1930 r.; poniósł śmierć w wypadku tramwajowym w Krakowie 5 lutego 1963 r. Aby zbliżyć się do Tatr kierował robotami inżynierskimi na terenie Zakopanego. Jego działalność taternicka była krótka, ale interesująca. Przeszedł m.in. drogę Dziędzielewicza i Komin

Świerza na Kościelcu, żleb Drege'a w Granatach, wschodni filar Stwolskiej Turni, filar Ganku, kilka dróg na południowej ścianie Zamartej Turni. W zimie – filar Swinicy oraz wschodnią ścianę Kościelca i filar Staszla na Granatach. Miał sympatyczne usposobienie i tym zjednywał sobie partnerów do liny.

Następne formacje skalne pokonujemy stosując wszelkie środki ostrożności. Na półce Graniastej Turni, przykucnięci pod igelitową płachtą z niecierpliwością przeczekujemy mijającą burzę. Zmoczone mchy i porosty na skałach utrudniają dalsze poruszanie się granią. Postanawiamy wrócić do biwaku na Przełęczy Jaworowej. Spod południowej ściany Jaworowych trzeba dobrze zadrzeć głowę, aby dostrzec biały punkcik naszego namiotu. Po bardzo pracowitym dniu, myśl o podejściu na przełęcz staje się nieprzyjemna. Trzeba pokonywać zwalę ogromnych bloków, między którymi szczeliny i pustki stają się studniami o niedosięgalnym przez wzrok dnie. Bloki stopniowo są coraz mniejsze i przechodzą w usypujący się piarg, a każdy krok w górę opłacony jest obsunięciem się w dół niekiedy o całą wartość zdobytej wysokości. Padają nieparlamentarne wyrażenia, bo stwierdzamy,

że znikło trzech towarzyszy mających nam pomagać. Zabrali swój namiot, całą żywność i nie pozostawili żadnej wiadomości. W tej sytuacji decyzją jest jedna. Trzeba do wlec się do Polskiego Grzebienia, gdzie jest następna skrytka żywnościowa. Zapadający zmierzch, zmęczenie, piekące z głodu żołądki, ciężkie plecaki i poprzednio wspomniane trudności terenowe towarzyszą nam w drodze do nowego miejsca biwakowania. Pochód ten przerwał deszcz i zmusił nas do spędzenia nocy w kolebie. Zbolałe organizmy przez całą noc walczyły ze strużkami spływającymi po skałę wprost na nas. Walka zakończyła się zwycięstwem mrozu, bo wiem zamienił „nieprzyjaciela” w sopolki.

**3 września.** Mimo rozpogadzającego się nieba, dzień jest chłodny. Godziny popołudniowe wykorzystaliśmy na przejście odcinka grani od Świstowego poprzez Dziką Turnię, Małą Wysoką do Polskiego Grzebienia. Przypadkowo natknęliśmy się na naszych „pomagierów”, z którymi zawarliśmy umowę w sprawie przerzutu części naszego bagażu pod Żelazne Wrota.

Wzmagający się wiatr przepędził chmury i pozwolił oglądać krwisty zachód słońca. Towarzyszy temu widowisku wspaniały przegląd barw o fantastycznej intensywności i czystości. Nastąpiła czarna noc, lecz tym razem nie cicha. Wiatr z zawziętością strzela igelitowymi ściankami namiotu, nadyma je lub wciska do środka.

**4 września.** Dzisiejsza marszruta przewiduje duży odcinek grani, bo od Polskiego Grzebienia aż po Rumiską Przełęczkę. Wzdychamy do rządzących siłami wyższymi, aby bezchmurne niebo przetrwało do południa. Czynności związane z przyrządzeniem śniadania i posiłków na czas wspinaczki przebiegają sprawnie. Pojawia się pytanie – co zrobić ze sprzętem biwakowym? Przed wyjściem musimy podjąć jakąś decyzję. Najpotrzebniejszy sprzęt bierzemy ze sobą. Resztę przetrzucimy nazajutrz. W terenie nieco trudnym, balast plecaków jest prawie nieodczuwalny, ale gdy zaczynamy schodzić z Wielkiego Szczytu, staje się nie do zniesienia. Pierwszy, asekurowany na sztywno od góry, szybko i pewnie pokonuje zacięcia, pół-



■ Zadni Gierlach. Stoją od lewej: Stanisław Obrochta, Józef Olszewski, Henryk Szot

ki, gzymsy, rysy i inne formacje skalne. Natomiast drugi w zespole, nie mając żadnej asekuracji, grzęźnie w połowie. Przy mierza się do skały plecami, plecak zawadza; przodem – plecak wyważa lub przelatuje przez głowę. Trzeba zdjąć toból, co wymaga manipulowania rękami, które są akurat zaangażowane na chwytach, pewniejszych tutaj niż stopnie. Wnioskujemy, że wolne tempo pelzania po grani pokrzyżuje nasze plany i nie dotrzemy do skrytki żywnościowej. Na Przełęczy Litworowej zdeterminowani zrzucamy plecaki i ukrywamy wśród głazów. Niech czekają na nas, albo niech się dzieje, co chce, w każdym razie nie możemy z nimi iść.

Dwa zespoły dwójkowe taterników wtopiły się w rozległą grań Zadniego Gierlachu. Tempo jest bardzo duże, a ryzyko jeszcze większe ze względu na kiepskie zabezpieczenie liną. Na szczycie nie szczególnego, jesteśmy na nim nie pierwszy i nie ostatni raz. Przy schodzeniu napotykamy szczątki rozbitego samolotu i pomiędzy nich wyciągamy wymacerowane kości lotnika. Nie jesteśmy tym zaskoczeni, szczątki leżą tu już parę lat.

Przed nami trudniejsza partia wystrzonej grani nad Batyżowiecką Doliną. Lita skała daje dużą przyjemność wspinaczki, ale też ogranicza ilość chwytów i stopni. Należy zachować wielką ostrożność i pokonywać przeszkody kocimi ruchami. Lepiej nie patrzeć na piargi formujące się w stożki, których wierzchołki zdają się być tuż pod naszymi nogami. Ekspozowany trawers, wibram połowicznie spoczywa na skośnym gzymsiku i tylko ręce wczepione w szczelinę nad głową nie pozwalają, aby wciągnęła nas otchłań. Powietrzna przestrzeń działa jak magnes, tajemniczo przyciąga. Nawet płytka nyża staje się przytulnym schronieniem, niestety wołanie partnera „możesz iść” staje się sygnałem do walki. I znowu przywarły do skały, centymetr po centymetrze przesuwam się naprzód. Lgnięcie do skały utrudnia wspinaczkę, trzeba się bardziej wychylić w tę stronę, o której nawet myśleć się wzbieram. Walka między instynktem samozachowawczym, a siłą zachłanności tzw. powietrza jest po kilku godzinach męcząca. Mam nawet uczucie mdłości. Pragnę tylko najszybciej dojść do łatwego terenu. Nie mogę żałować podjętej wyprawy, bo wiem, że już w namiocie bardzo wstydzilibym się swojego załamania.

Mgły otuliły nas już w terenie połogim, wiodącym do celu dzisiejszej marszruty. Po zejściu stromym i kruchym żlebkiem, zastajemy w kolebie naszych pseudo pomaragierów. Oczywiście nie możemy się u nich zatrzymać, skoro sprzęt biwakowy pozostawiliśmy na jednej z przełęczy. Niemal natychmiast ruszamy na Żelazne Wrota. Stamtąd w zapadających ciemnościach dostajemy się na górną część doliny Kaczej. Następnie podchodzimy szerokim żlebem do miejsca, gdzie ukryliśmy śpiwory. Pojeżdżenie obfitowało w wiele dramatycznych

sytuacji. Dwóch kolegów obsunęło się z szalenie kruchej i stromej ścianki. Pokonanie górnego odcinka żlebu w ciemnościach, w obawie przed runięciem ruchomych głazów było trudne i wyczerpujące.

Zanosi się na deszcz, konieczny jest namiot, który został na Polskim Grzebieniu. Decyzji nie podejmowaliśmy, po prostu sytuacja zmusiła nas do zejścia w stronę Doliny Wielickiej. Blade światło księżycy wyrwało się spośród wirujących chmur i mgieł, przyświecając zsuwającym się z półki na półkę czterem postaciom. Wiemy tylko, że tędy prowadzi przejście znaczone kopczykami, i nic więcej. Niejeden zachód czy półka okazały się fałszywym szlakiem.

Zainteresowało mnie milczenie „Joe’go”. Nigdzie nie było go widać. Zaczęliśmy nawoływać i przeszukiwać najbliższe załomy zalegające dno niewielkiej kotlinki. Odnaleziony kilkadziesiąt metrów wyżej, siedział mamrocząc pod nosem. Długo rozmawialiśmy, zanim zmógł załamanie. Próba przeczekania nocy byłaby ryzykowna ze względu na zbliżającą się zmianę pogody. Po wydostaniu się na znakowaną ścieżkę poczęliśmy wolniutko piąć się w stronę Polskiego Grzebienia. Plecaki stawały się coraz przykrejsze. Już pod przełęczą było wiadomo, że zanim rozbijemy namiot, wiatr porozrywa go zupełnie, kończąc swą pracę z poprzedniej nocy. Trzeba było szukać zaciśnego miejsca. Zachwiali się nogi pod nami, gdy założyliśmy plecaki ze sprzętem pozostawionym na przełęczy. Ruszyliśmy w stronę Doliny Kaczej, przezwyciężając szalone poddmuchy wiatru. Jedynym pocie-

zeniem było uzbrojenie w latarki i znajomość ścieżki. Schodząc do Doliny Świstowej upadłem, a bagaż przytoczył mnie do ścieżki usłanej płaskimi głazami. Koledzy usunęli plecak i postawili mnie na nogi. Do otworu koleby nad Litworowym Stawem wczolgiwaliśmy się chyba nad ranem.

**5-7 września.** Uskok Wschodniego Szczytu Żelaznych Wrót przeraża swymi dachówkowato wrośniętymi płytami. Historia taternictwa nie wspomina o pokonywaniu tych płyt ani w wejściu, ani też w zejściu (zjeździe). Na lewo od gładkich płyt, ostrzem uskoku prowadzi wspaniała droga taternicka. Przy zjazdach można sobie pozwolić tylko na nieudane odchylenia od direttissimi, bo większe są bardzo niebezpieczne. W drugim dniu siąpawicy, korzystając z paragonicznej poprawy pogody, przeprowadzamy rekonesans i podejmujemy decyzję... Żadna z dotychczasowych wypraw Główną Granią Tatr nie szła tak dokładnie granią jak my to właśnie czynimy. Więc jeszcze jednym sukcesem byłoby zjechać przez uskok Żelaznych Wrót.

Dziesiątki godzin mijają, a my wciąż we wnętrzu pod kamieniem oczekujemy na poprawę pogody. Koleba tuż pod Żelaznymi Wrotami służy nam od paru dni za schronienie.

**8 września.** Śnieg przestał padać koło południa, nieco lepsze warunki skusiły nas do wyjścia. Nad uskok dostajemy się granią z kierunku wędrowki naszej wyprawy. Na bardzo wygodnym balkoniku (niestety bez poręczy), zakładamy stanowisko asekuracyjne. Linę



■ Odpoczynek na grani. Siedzą – Henryk Szoł i Józef Olszewski. W środku stoi Marian Kruczek

tel. STANISŁAW OBROCHTA

zjazdową mocujemy aż do trzech uprzednio wklonowanych haków. Siedemdziesiątmetrowa lina nie dostaje do piargów, trzeba do niej dowieźć trzydziestometrową. Obok niej tak samo przedłużoną drugą linę, aby spełnić warunek bezpieczeństwa. Każdy ze zjeżdżających asekurowany jest jeszcze jedną liną. Podjęte zostały wszelkie możliwe środki ostrożności, a więc można zaczynać. Istotą jest znalezienie się na tych czarnych płytach, o które jeszcze ludzkie ciało się nie otało.

Jako pierwszy w klucz zjazdowy wchodzi Marian. Minę ma nienaturalnie uśmiechniętą, temperatura dużo poniżej zera nie jest jedyną przyczyną drżenia jego głosu. Zegarki rejestrują dwudziestą pierwszą minutę zjazdu. Trwało tak długo, bo manipulacja polegająca na położeniu węzłów liny, wypadła akurat w wolnym zwisie pod okapem wspomnianych płyt. Wzbogaceni doświadczeniem Mariana, „Joe” i Heniek zjeżdżają sprawniej.

Na półce ścielonej przez zimny puch,

pozostałem sam. Czekam, aż dwóch kolegów okręzną drogą dojdzie tutaj, aby asekurować mój zjazd i zlikwidować stanowisko. Chociaż wiatr na grani zawsze syczy na ostrzach skał, to jednak bez ludzkiego głosu jest przerażająco cicho. Skulony siedzę wśród mgieł coraz bardziej zajadle zimnych i rozmyślałam nad sensem naszej „zabawy”. Dziesiątki minut stają się godzinami, a godziny dniami. Zbliży się zmrok, ale na szczęście koledzy zdążyli na czas. Przed wejściem w klucz zjazdowy zaglądam za krawędź balkonu. Niestety mgły poskąpiły urzekającego powietrza. Przez bark z trudem przesuwa się lina, boleśnie cisnąc własnym ciężarem. Karabinek zeskakując z nałożonych na siebie lin, sprawia wrażenie, jakby urywała się lina. Słyszę tylko chrobot butów na oślizgłych płytach i trzask szalonych lin. Każda krawędź okapu ozdobiona jest dzisiaj koroną sopli. Zetknięcie moich wibratów z piargami oznaczało rozwiązanie problemu nr 1 naszej wyprawy.

**9 września.** Po całonocnym opadzie rano jest około 20 cm śniegu. Przymusowa przerwa.

**10 września.** Ranek nie poskąpił słońca, które w błyskawiczny sposób rozprawiło się ze śniegiem, ale tylko tam, gdzie udało mu się dotrzeć. Gorzej jest w miejscach zacienionych. Niewiele przyjemności daje wspinać się, podczas której chwyt i stopnie trzeba odgrzebywać ze śniegu rękami. Butów tym razem nie dało się uchronić przed przemoczeniem. Również mokre liny są ciężkie i często się plączą, wyrывая nam z ust mocne słowa.

Na ostatnim odcinku drogi na Żłobisty prowadzi znowu Marian. Stoi na małym stopieńku w dużej ekspozycji, usiłując dostać znajdujący się wprost nad nim wyraźny kant skały. Przez dłuższy czas próby dostania choćby jedną ręką nie skutkują.

Dopiero ryzykancki podskok wybawia go z nieprzyjemnej sytuacji.

Z każdym dniem racje żywnościowe

ograniczamy coraz bardziej i dlatego kładąc swoje ciała w puchowe śpiwory, myślisz jesteś przy domowej opalce.

Towarzysze od „pomagania”, którzy do wczoraj biwakowali w pobliżu pozostawili nas sądząc zapewne, że sami damy sobie radę. Po zakończeniu wyprawy dowiedziałem się, że kolega Dorynek, zresztą wyjątkowo ofiarnie pomagający naszej grupie szturmowej, z powodu ciężkich warunków atmosferycznych poważnie zachorował. Zaopiekował się jednak Urszulka, którą odwieziono ambulansem sanitarnym do domu, ponieważ wyczerpała się po pokonaniu w jednym dniu dużego odcinka trasy, niosąc nam świeżą żywność.

**11 września.** Wywlekamy się z namiotu wcześniej niż zwykle, aby pokonać następnych kilka szczytów i przełęcz. Śnieg utrzymuje się nadal, co ogromnie utrudnia wspinaczkę i czyni ją niebezpieczną. Aby dostać się z Ganku na Mały Gank, trzeba pokonać zjazdem uskok, oceniony w wyjściu jako trudny. Odpowiednie umocowanie liny zawsze pochłania kilkadziesiąt cennych minut. Niewytłumaczalny pośpiech, jaki towarzyszy nam na grani przewyższa rozsądek, zatem przystępujemy do schodzenia. Ścianka około 30 metrów jest bardzo zaśnieżona. Schodzący koledzy są kolejno asekurowani od góry. Każdy z nich odgrzebuje w mokrym śniegu stopnie i chwyt, co wcale nie daje gwarancji, że przy nacisku gumowej podeszwy lub ręki dadzą dobre wsparcie. Komentowanie obranej taktyki spłata się z padającymi hasłami: luz, ściągaj, idę. W pewnej chwili pada krótki okrzyk Mariana. Odwracamy się w tym kierunku spodziewając się dramatycznego widoku. A widok jest raczej śmieszny, bo Marian usiłując schwytać wypadający z kieszeni kęs chleba upuścił rękawicę, która wraz ze spadającą pajdą, leniwie odbijając się od ścianek żlebu zniknęła w czeluści.

Gęsta mgła nie zachęca do kontynuowania wędrówki. Decydujemy się na zejście z Przełęczy Rumanowej i powrót do namiotu. Mamy już wprawę w likwidowaniu biwaku. Po krótkiej chwili byliśmy gotowi do drogi na Wagę. Kopczykowana trasa jest wyjątkowo zawikłana. Nie zawsze trafne domysły wyprowadziły nas jednak pod tzw. Kogutka, skąd wyraźny zachód wyznaczał końcowy odcinek kilkugodzinnego zmagania się z tobołami i labiryntem drogi.

**12 września.** Śniadanie przerwane zostało pojawieniem się słowackiego „horolezca” z parterką. Uraczeni gorącą herbaczką, zwierali się z wrażeń doznanych podczas przeczekiwania nocy w ścianie, ponieważ zmylili drogę. Mało brakowało, a powtórzylibyśmy ich los, gdyż zgodnie orzekliśmy, że od Przełęczy Rumanowej na grani wchodzi się z prawej strony ostrego Konia, ledwo dostrzegalnego w gęstej mgle. Próby sforsowania nadzwyczaj trudnych ścianek porośniętych białym, oślizgłym mchem, oplaciliśmy stratą około 2 godzin. Właściwą drogą okazała się wyostrzona

grańka, tonąca w bieli. Frapuje nas myśl, czy w rozległym masywie Wysokiej, gdzie charakter grani jako takiej zanika, zdołamy właściwie rozoznać drogę. Im bardziej zbliżamy się do wierzchołka, tym jaśniejsze, niebiesko-olśniewające stają się mgły.

Prześliczny widok roztacza się z obu wierzchołków wystających z przelewającego się morza mgieł. Spodiewając się znajomych twarzy wśród osób kiwających z Rysów, idziemy w tamtym kierunku, nie zatrzymując się nawet przy namiocie ustawionym na Wadze. Korzystając z ostatnich promieni zachodzącego słońca, schodzimy w stronę Żabięgo Konia z zamiarem przejścia po jego grzbiecie. Lawirując pomiędzy blokami, ciągle trzeba zwracać uwagę na ruchome, kilkutonowe glazy. Jeden z nich zsunął się przytłaczając linę. Wycofujemy się żłebkiem odpowiednim do schodzenia. Na biwak wracamy marszobiegami, okrężną drogą. Apetyty mamy wspaniałe, niestety zaopatrzenie skrytek jest skąpe. Kolacja, po całodniowym poście, składa się z dwóch puszek gołąbków konserwowych rozdzielonych pomiędzy 4 osoby.

**13 września.** Nadzwyczaj skromne śniadanie spożywamy przy Żabich Stawkach, już po zejściu z Wagi. W gigantycznych złomach skalnych ukrywamy plecaki, sami zaś kierujemy się w stronę wczoraj poznanego żłebka, aby nim wydostać się na grań. Przed atakiem na Żabięgo Konia wykonujemy krótki zjazd. Nie wspominalbym o tym, lecz przy ściąganiu liny zaklinował się jeden jej koniec. Zmuszeni byliśmy stosować rozmaite sposoby wyrwania jej z uwięzi, w terenie bardzo eksponowanym.

Wyostrzona sylwetka tego szczytu dostarcza wielu emocji podczas wspinaczki. Po stronie Morskiego Oka cicho jęczy zimny chłód unoszący się z dna przepaści. Na groźę gładkich ścian kojąco działa wibrujące powietrze nagrzane promieniami słońca od strony Doliny Mięguszwieckiej. Hak, który wysmyknął się z rąk, długo podzwania odbijając się od kamieni. Jak dostanę się nad odszczepione płytki, będę mógł odechnąć. Teraz trzeba bardzo szybko przejść miejsce, w którym odnosi się wrażenie zawieszenia w próżni. Na szczycie po-


wtwarzamy zwykłą czynność, wpisując się do puszk. Pod nowy problem, pod ścianę Żabiej Turni Mięguszwieckiej dostać się można zjazdem. Szczupłe zacięcie w pionowej zerwie wycenione jest jako nadzwyczaj trudne. Rozczapierzone palce przesuwają się po ostrym granicie, szukając miejsca zaczepienia. Mocno przylgnięte zranionymi opuszkami drżą z wysiłku. Muszą tak długo trwać, aż druga ręka i stopy znajdą odpowiednio wyżej położone chwytty i stopnie. Lewa ręka wklinowana po łokieć, powoli wysuwa się licząc na ewentualny błyskawiczny powrót, gdyby jej rodzona siostra nie zdołała utrzymać ciężaru ciała. Potem w majestatycznym tempie unosi się dając ulgę obolałym

palcom, i od nowa rozpoczyna badanie nieznanego miejsca. Oddech na czas ruchu jest wstrzymywany, ale co chwila jękiem wysiłku. Serce mocno kołata, a uszy przepelnione są własnym tętnem. Wrażenie strachu potęguje zupełna ekspozycja. Upragnione słońce staje się nieznosne, wysuszając z nas resztki sił.

Na rozległej, trawiastej Przełęczy pod Chłopkiem, rzucamy się bezwładnie na ziemię. Jesteśmy słabi, od śniadania nic nie mieliśmy w ustach. Z odnalezionej skromnej skrytki można było na poczekaniu wykorzystać tylko po paczce sucharów. Przyrzędy do gotowania są w plecakach przy Żabich Stawkach. Słońce chyli się ku zachodowi, więc tempo zejścia po pozostawione toboły trzeba maksymalnie wzmoczyć. Rozpoczęliśmy wyciągi z nadchodzącym zmrokiem. Głębokie, rytmiczne oddechy towarzyszą przy podchodzeniu na grzędę oddzielającą nas od celu. Widok stawów, budzi nieodparte pragnienie picia lodowatej wody „całą gębą”. Wnet czynimy to, gasząc pragnienie oraz czyniąc zapas wody dla organizmu na czas powrotu na przełęcz. Cztery staniające się cienie rozbijają namiot w zupełnych ciemnościach, a w dole małą iskierką świeci schronisko przy Morskim Oku.

**14 września.** Bandyżki Mięguszwiecki łaknie naszych ofiar, na szczęście w porę rezygnujemy z niebezpiecznego noszenia ciężkich tobołów po urwistej grani i zostawiamy plecaki pod Pośrednim Mięguszwieckim Szczytem. Ach, jak lekko i wygodnie okraczać glazy, sięgając do chwytów,

■ Zjazd z Papirosowych Turni. Asekuruje z góry Henryk Szot, zjeżdża Stanisław Obrochta



lub przyjmować pozę raczkującego dziecka! Popelnianie kardynalnych błędów świadczy o zmęczeniu psychicznym i znudzeniu wspinaczką.

Emocji przysparza nam trawers przed Kominem Martina. Ściągamy skórzane rękawiczki, które chronią starte opuszki palców. Lita skała pokryta wyschniętym, szeleszczącym porostem, wyraźnie pachnie. Siedzę mocno zaparty nogami i śledzę linę przesuwającą się przez karabinek. Tuż za krawędzią Heniek stawia krok za krokiem po wąziutkiej listwie. W każdej chwili może nastąpić raptowne szarpnięcie, dlatego napięcie nerwowe trwa jeszcze przez dłuższy czas. Wreszcie dochodzi stłumiony głos komendy – możesz iść. Teraz na mnie

kolej. Chwilowa konsternacja przed przeszkodą. Niezbyt wyraźne stopieńki pozwalające stanąć na szpicu buta, a rozkrzyżowane ręce muskają ścianę tylko dla równowagi. Po wyjściu z komina teren pozwala stosować lotną asekurację, wobec tego w niedługim czasie stajemy na szczycie Wielkiego Mięguśza, a potem przez Cubrynę docieramy pod uskok Zadniego Mnicha.

Ściana tej osobliwej turni wyceniona jest zgodnie ze skalą taternicką jako skrajnie trudna.

Wszyscy mamy lekką tremę, ale największą ma Heniek, bo jemu powierzyliśmy prowadzenie. Haki wbija prawie co metr, a po każdym dla odpoczynku zawisa na linie, którą dzierżę w rękach. W myśli zadaje sobie pytanie – czego on się tam trzyma? Obserwuję każdy jego ruch i natychmiast reaguję za pośrednictwem liny. Ściągam ją tak mocno, że aż nosem dostaję do skały lub też faluję liną, żeby lżej prześlizgiwała się przez karabinki. Jakies dziesięć metrów nade mną widzę jego drżące ze zmęczenia pięty. „Joe”, który doszedł do mojego stanowiska asekuracyjnego, uczepony do skały czeka aż raczej pójdę w ślady Heńka. Podbudową mojej psychiki była asekuracja z góry, ale tylko do momentu, kiedy ujrzałem sposób założenia stanowiska. Pod przewieszką, a raczej pod okapem, Heniek stał w pętłach umocowanych tylko na hakach, a pod nim prawie cała wysokość uskoku. Żeby dokonać wymiany stanowiska, trzeba było użyć jeszcze dodatkowych pętli, a wszystko to działo się w bardzo nieprzyjemnym miejscu. Ostatnie metry wejścia ścianą, stanowiącą dla nas problem nr 2 całej wyprawy, są dokonywane z biciem serca. Pozostałą część grani będzie można pokonywać bez wiązania się liną.

Ostatni z naszej czwórki kończy wejście przy zapadających ciemnościach i nadchodzącej mroźnej nocy.

Ubrani jesteśmy lekko, odpowiednio na słoneczny dzień. Ponieważ cały sprzęt pozostawiliśmy na grani jeszcze przed Pośrednim Mięguśzowieckim, postanawiamy noc przecuścić w kolebie pasterskiej, nieco poniżej Mnichowych Stawów. Udaje się wzniecić ogień, dopalając resztki po poprzednim ognisku. Zbici w gromadkę grzejemy się nawzajem własnym ciepłem, marząc o brzasku.

**15 września.** Aby kontynuować graniovkę, najpierw trzeba dojść do plecaków. Przy poświęceniu rodzącego się dnia przedzieramy się przez zwały want zarosniętych bujną kosodrzewiną nieco powyżej Morskiego Oka. Ścieżka od Czarnego Stawu idziemy bardzo sprawnie, a może i zbyt szybko, skoro pot spływający z czoła zalewa oczy. Od przełęczy po plecaki trzeba przejść po grani tam i z powrotem około trzystu metrów. Potem schodzimy do Hinczowego Stawu i kierujemy się pod Cubryńską Przełęczką.

Przy podchodzeniu zauważyłem: – O..., niedobrze..., sączy mi się krew z nosa. Odpocznę chwilę, może przejdzie. Z wieloma przystankami dostaję się do strome go żlebkę po drugiej stronie przełęczki. Początkowo stary, zmarznięty śnieg stwarza niebezpieczeństwo przy schodzeniu, ale potem za darmo chęć zsuwamy się wraz z piargiem podchodzącym aż do śniegu szerokim jęzorem.

Z prawej strony otwiera się szeroki żleb kulminujący pod Zadnim Mnichem. Czy będzie na tyle sił, aby pokonać trzecie w tym dniu podejście? Okazało się, że tak, a nawet starczyło do Kasprowego Wierchu. Długo będę wspominał moment, kiedy przy podchodzeniu pod Kosturę brakło mi sił, aby utrzymać równowagę ciała obciążonego plecakiem, i padłem na kolana.

O zmroku winszowaliśmy sobie połącznego sukcesu na Przełęczy Liliowej oddzielającej Tatry Wysokie od Tatr Zachodnich. Dostarczona żywność wypełnia puste żołądki. Silne podmuchy wiatru utrudniają rozbijanie namiotu na stokach Beskidu.

**16 września.** Wiatr halny na grani ma zupełnie inny charakter niż w Kotlinie Zakopiańskiej. Gęste chmury ograniczają widoczność do tego stopnia, że widać tylko na parę metrów. Od Kasprowego Wierchu idziemy ścieżką prowadzącą na Czerwone Wierchy. Przez cały czas wiatr dmie z lewej strony, ale w pewnym momencie zauważamy, że uderza z przodu. Oznacza to, że pomyliliśmy kierunek marszu. Orzekamy odwrót i tym samym trafiam na koniec gęsiego szyku. Wnet wychodzę na ścieżkę, ale tymczasem koledzy znikają mi z oczu. Pośpieszyli się – myślę. Aby do nich dołączyć, parę razy podbiegam, niestety nikogo nie doganiam. Rozwijam więc maksymalną szybkość marszu. Wołać nie ma sensu, skoro o wiele gło-

■ Emocjonujący zjazd do Rozdziela między Jaworowymi Szczytami. Na linie Józef Olszewski

śniej huczy wiatr. Przycupnąłem za granicznym słupkiem, chroniąc spocone plecy. Wyciągnąłem mapę, żeby upewnić się, że jestem na Kopie Kondrackiej. Sądziłem, że tutaj właśnie będą na mnie czekać, ale skoro ich nie ma, będę dotąd siedział, dopóki nie wrócą. Nie do wiary – upłynęło 45 minut i nikt się nie pofatygował. Jestem niekoleżeński, jeśli bowiem czekają na Małołączniaku, to przyjdzie po mnie na Kopę jest sporym wysiłkiem. Tam ich też nie było, widocznie są już na Krzesanicy lub Ciemięniaku. I znowu rozwijam szaleńczy pościg. Mgła systematycznie skrapla się od strony wiatru. Muszę co chwilę przecierać okulary, aby móc odróżnić ślady prawdopodobnie pozostawione przez kolegów. W pewnym momencie dochodzą mnie jakieś głosy. Jestem pewien, że to oni. Zdziwiłem się, widząc parkę turystów w krótkich spodniach. Widocznie podchodzą od Ornaków nie odczuwali zimna, jakie panuje na grani. Fioletowe towarzystwo wysłuchało informacji, przestróg i zanurzyło się we mgłę.

Zacząłem schodzić w stronę Przełęczy Tomanowej, a jednocześnie analizowałem sytuację. Ach – już wiem, planowaliśmy na dzisiaj dotrzeć do Wołowca i dlatego nie czekają na mnie. Postanowiłem za wszelką cenę ich dogonić. Szybki krok nie wystarcza. Chwilami podbiegam. Potem pnę się niezbyt wyraźną ścieżką, aż mi dech zapiera. Ciągła szarpanina z naporem wiatru wyraźnie wysysa siły. Następuje zwątpienie, czy aby sytuacja nie wygląda odwrotnie – czy oni nie pędzą za mną. Przecież siedziałem na Kopie 45 minut! Nie mam pojęcia, dlaczego jestem sam od czterech godzin. Ustawicznie ryczący wiatr, gęsta mgła, która drobnymi kropelkami przenika do skóry, nieznajomość terenu i nadchodząca noc działają ujemnie na psychikę. Zdawać by się mogło, że przejście Tatr Zachodnich to czcza formalność.

Żeby wydostać się z wału chmur, zbiegam ze stromej uboczy, raz po raz zsuwając się po kilkanaście metrów na mokrej psiarce. W porównaniu z hukami huraganu na grani, niżej panuje cisza. Trawersuję pod Pyszniańską Przełęczą, aby w kosówce „wyrzucić” legowisko dla przetrwania nocy. W momencie rozkładania śpiwora, słyszysz wyraźne gwizdy dochodzące od przełęczy. Czuję, jak do mózgu napływa krew i coś ściska za gardło na widok zbiegających kolegów. Po burzliwej dyskusji okazało się, że z chwilą dojścia do ścieżki, zamiast pójść w stronę Kopy, poszli w stronę Kasprowego Wierchu. Widząc potem pozostawione przeze mnie znaki, pędzili za mną, a ja w tym czasie usiłowałem dogonić ich mniemając, że są przede mną.

**17 września.** Widoczność polepszyła się, ale za to wiatr dał jeszcze silniej. Przy mocniejszych podmuchach trzeba było padać brzuchem na ziemię. Przez pozostałe wierchy do sukcesu prowadzi znakowana ścieżka. Zmrok przerwał „pielgrzymkę pokutników”, a na spoczynek wybra-

liśmy niżej położoną polankę. W ciemnościach trudno było określić, w jakiej odległości od ścieżki znajdowało się owo jaśniejsze miejsce. Nikt nie przypuszczał, że pas kosodrzewiny będzie się ciągnął przez 200 metrów. Podrapani, usmarowani lepką żywicą, okrutnie zmęczeni wczłogujemy się do namiotu.

**18 września.** Siwy Wierch jest tuż nad nami. Po kilkudziesięciu minutach podejścia składamy sobie wzajemne gratulacje z okazji wyjścia na ostatni nazwany wierzchołek, leżący w Głównej Grani Tatr. Zapas żywności wykończyliśmy przy śniadaniu, a pozostawioną puszkę pasztetu, doprawiając cukrem, zjedliśmy wieczorem na przystanku kolejowym. Byliśmy spragnieni solidnego opierunku, golenia i wygodnego łóżka. Z radością opuściliśmy Przełęcz Huciańską na granicy Tatr, udając się w kierunku orawskiej wioski Huty. Po południu dotarliśmy do Kwaczan, skąd autobusem do przystanku kolejowego. Przy kasie zauważyłem brak dokumentów i pieńędzy, które wyślizgnęły się z kieszeni plecaka znajdującego się na dachu autobusu. Zanim odzyskałem zgubę pociąg odjechał, a na następny trzeba było czekać parę godzin.

Podejście ze Szczyrby do Szczyrbskiego Jeziora nie było ostatnim odcinkiem pokonanym na piechotę, bowiem w momencie naszego dojścia do przystanku, ostatnia elektryczka zniknęła za zakrętem. Trzy kilometry dzielące nas od kempingu przeszliśmy przy akompaniamencie narzekań z powodu pustych żołądków i zmęczenia.

**19 września.** Wczesnym świtem Marian i „Joe” podrałowali do Smokowca, aby pożyczyć korony potrzebne na zakup żarcia i biletów na Łysą Polanę.

Duma z pokonania wielu przeciwności rosła z każdą chwilą. Wynędzniałe, obrosnięte twarze pałały radością i obdarzały uśmiechem turystów załatwiających formalności na punkcie granicznym. Czeskosłowacki porucznik oznajmił, iż z powodu nieprawego przedłużenia pobytu na terenie ČSSR, zmuszony jest zatrzymać nas do wyjaśnienia. Przesłuchanie trwało kilka godzin. Dopiero o dwudziestej pierwszej, jadąc autobusem do Zakopanego, mogliśmy naprawdę odetchnąć po dokonaniu ścisłego przejścia Głównej Grani Tatr.

STANISŁAW OBROCHTA  
*Zakopane, 15 listopada 1962 r.*

Autorowi dziękujemy za udostępnienie kroniki. Jest to album z wklejonymi kartkami maszynopisu relacji, ilustrowanej czarno-białymi zdjęciami robionymi w czasie wyprawy przez Mariana Kruczkę. Kilka zdjęć jest autorstwa Pawła Fogla. W oryginalnym tekście dokonaliśmy koniecznych skrótów i poprawek redakcyjnych.

■ Marian Kruczek zjeżdża ze Zbójnickich Turni